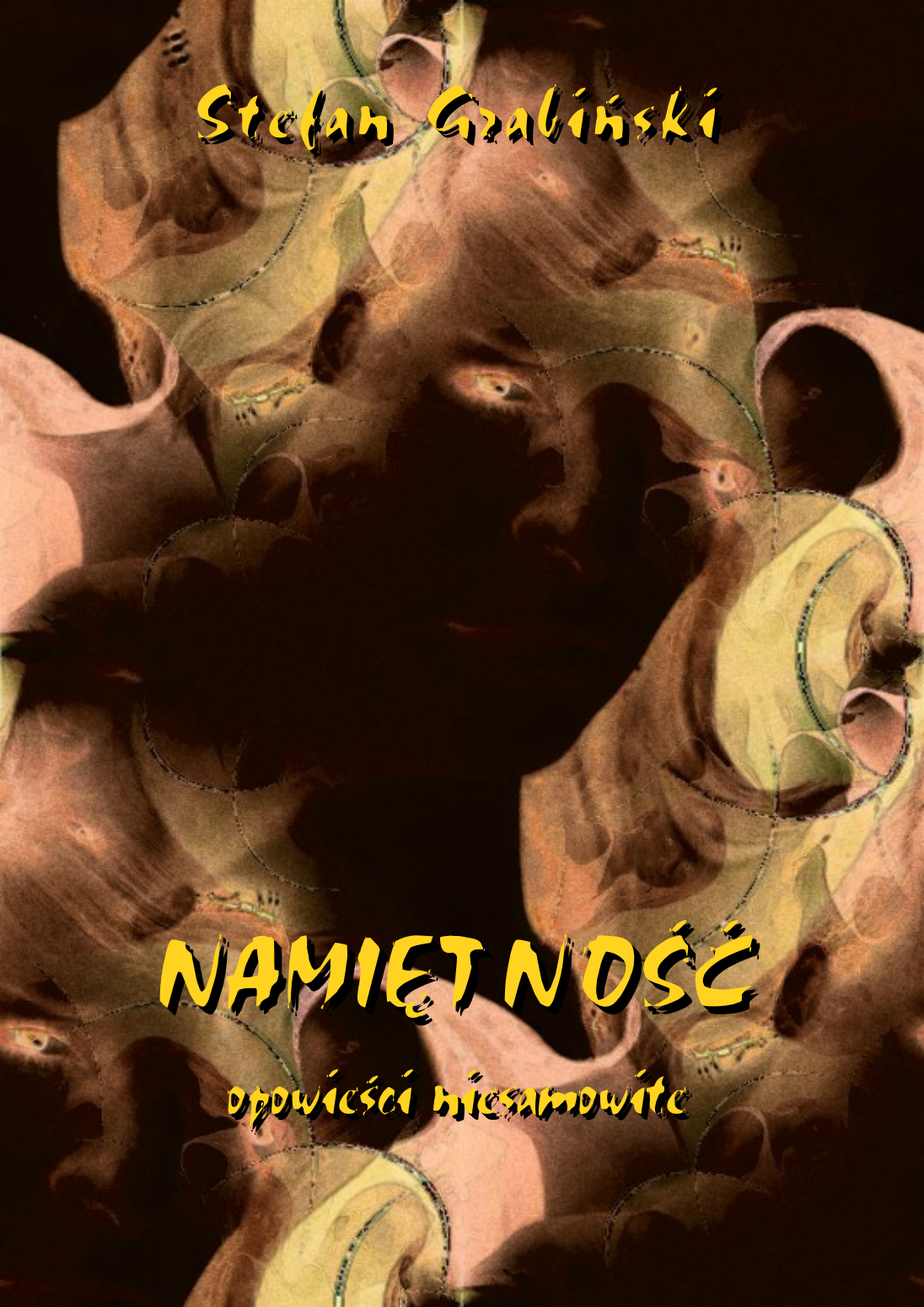




Stefan Gzaliński

NAMIĘTNOŚĆ

opowieści niesamowite

Namiętność

[Kup książkę](#)

Stefan Grabiński

Namiętność

opowieści niesamowite

Armoryka

[Kup książkę](#)

Redaktor tomu: Marta Sarwa
Projekt okładki: Juliusz Susak

© Wydawnictwo ARMORYKA 2016

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-184-6

[Kup książkę](#)

DZIEŹA

Zabawa u państwa Zubrzyckich udała się znakomicie. Wandzia wróciła do domu koło dziesiątej wieczór w humorze doskonałym, z oczyma błyszczącymi radością, niezatartymi śladami świeżo przeżytych wrażeń. Zespół gości był wyborny: parę panienek-rówieśnic, koleżanek z liceum pani d'Astre, kilka młodszych kuzynek państwa Zubrzyckich i sześciu chłopców. Był między nimi też Władek, wesoly, jasnowłosy piątoklasista; ten sam, który pierwszy na świecie zauważył, że Wandzia ma śliczne, duże oczy i ręce miękkie jak jedwab. Bardzo miły ten Władek!

Zabawa przeciągnęła się wyjątkowo do późna, bo chłopcy wymyślili szereg nowych rozrywek i gier, które zajęły bardzo młode towarzystwo. Bawiono się w pytkę, w podróż bez pieniędzy, potem odegrano małą komedyjkę ze śpiewami i tańcami (zwłaszcza ten dodatek z tańcami był bardzo na miejscu) – *zbierano miód* (bardzo przyjemna i słodka zabawa), a potem urządzono rodzaj *cenzury*, lecz w formie dotąd Wandzi nieznanej; zwykle bowiem cenzuruje się kogoś w jego własnej osobie jako człowieka, na którego wygaduje się rozmaite plotki, czyli tzw. złe i dobre wieści; tymczasem cenzurę u pp. Zubrzyckich przeprowadzano w sposób trochę odmienny. Oto osobniki, które miały paść ofiarą osądu, nie zasiadały na ławie oskarżonych we własnej osobie, lecz jako zwierzęta, rośliny lub jako przed-

miot martwe. Wynikały stąd bardzo wesołe historie i nie raz śmiano się do rozpuku, gdy padło z ust zbierającego plotki jakieś trafne określenie lub dosadne porównanie. Pomysł był tym lepszy, że teraz nie krepował się nikt względami na osobę, która jako taka przestawała na chwilę istnieć, podszywając się w cudzą skórę cierpliwą już na docinki i żarty.

Tak np. p. Stasia Wysoczańska przemieniła się na pewien czas w mrówkę i w tej postaci musiała wysłuchać paru dowcipnych uwag. Ktoś złośliwy (zapewne jeden z chłopców) popisał się przy tej okazji znajomością zoologii, utrzymując, że mrówka ta posiada nader zjadliwe parzydełka. Inny znów niecnota twierdził z przekąsem, że wbrew uświęconej opinii o pracowitości mrówczego rodu jest bezprzykładnie leniwa i gnuśna. I tak bawiono się jeszcze jakiś czas kosztem Stasi-mrówki.

Wandzia zasiadła na cenzurze w roli dzieży. Pomysł przyszedł jej nagle, w ostatniej chwili, pod wpływem wspomnienia z przeżyć tegoż dnia przed zabawą.

Idąc mianowicie koło ósmej rano do liceum, przypadkiem rzuciła okiem we wnętrze jakiegoś zapadłego podwórza i tu ujrzała stojącą wśród kupy wiórów i trocin starą, zabłoconą dzieżę, nad którą pochyliła się ciekawie jakaś biedna, obdarta dziewczynka. Obraz utkwiał w pamięci wyraźnie, nie wiadomo dlaczego i teraz zużytkowała go do zabawy.

Plotkował wtedy Władek i zebrał całą wiązanąkę sprzecznych zdań i często wzajem się wykluczających poglądów na dzieżę. Jedni utrzymywali, że za wysoka, inni, że jak na zwykłą gospodarską dzieżę za wytworna – ktoś biadał, że to chyba tylko dzieżą od parady, bo użytku z niej żadnego – jakiś złośliwiec podpatrzył kanciastość brzegów – inny rzucił zjadliwą, zresztą całkiem niezgodną z istot-

nym stanem rzeczy (Władek poświadczy) uwagę, że trochę kuleje, bo nóżka w stosunku do kubła za mała.

Dużą wesołość obudziło spostrzeżenie, że sprzęt będący tematem plotek jest dziezą dziwnego nabożeństwa i zakrawa na dziwoląga, gdyż zamiast, jak Pan Bóg przykazał na czterech, wspiera się tylko na dwóch nogach, jakim mimo to sposobem zdoła utrzymywać równowagę stałą, to już jest zagadką trudną do rozwiązania.

Najzabawniej wypadła opinia końcowa. Ktoś naiwnie wypadające ze stylu zauważył, że ma bardzo ładną sukienkę. Proszę państwa, co za komiczne zestawienie: dzieża w sukience!

Wandzia wybrała ostatnią plotkę, której autorką, jak się okazało, była mała siedmioletnia Zosia Tenczyńska. Dziewczątka, ogromnie zadowolone z wyboru, usiadło na cenzuralnym krzeselku i na tym grę zakończono.

Po cenzorze przyszła kolej na chowankę. Państwo Zubrzyccy mają duży ogród, więc kryjówek było pełno. Zwłaszcza ta w krzakach bzu pod ścianą domu koło wielkiej, pękatej beczki jest znakomitą, można tam siedzieć bezpiecznie przez cały dzień i nikt nie znajdzie, tylko Władek podpatrzył ją z daleka i podkraǳszy się znieńacka, pocałował w lewe uszko. Trochę się pogniewała, bo ją przestraszył – zresztą jakoś nie wypada – zawsze to obcy chłopiec; lecz na pożegnanie przeprosili się serdecznie. – Wandzia nawet mocno ścisnęła mu rękę... Tak, tak – bardzo dziś było przyjemnie u pp. Zubrzyckich, bardzo, bardzo... a... a... – ziewnęła Wandzia przeciągając się rozkosznie w łóżku na miękkiej pościeli pod jedwabną, błękitną kołderką.

Obrazy zaczęły się mieszać, zlewać. Światło w sypialni zgasło już i po domu rozlała się jednolita ciemność. Z salonu dochodziło ciche tykanie ściennego zegara, z ulicy spieszne kroki spóźnionego przechodnia.

Wandzia zamknęła ciężkie powieki i zasnęła...

Znienacka, z mroczni snu wysnuło się jakieś ciepłe, zamknięte szczelnie wewnątrz – czeladna lub kuchnia w starym dworze, zupełnie podobna do tej, jaką widziała ubiegłego lata u dziadków w Snowiu Wielkim. Izba była duża, jasna, mocno nagrzana. Musiało być lato i upał, bo przesłoniętych organzyną oknach stało słońce w barwach sytych, gorących.

Wzdłuż ścian drzemały ławy, rozgrodzone w kącie dużym, kuchennym stołem, w głębi na prawo od drzwi zionął czeluścią piec piekarski.

Na krześle wyplatany z oparciem, pod wysokim, dębowym kredensem siedziała staruszka i przesuwiała w palcach paciorki różańca.

Między kredensem a piecem, tuż przy ścianie stała obszerna, głęboka, żłobiona dzieża. I rzecz dziwna! Wandzia od razu zrozumiała, że właściwie ona jest tą dzieżą – tym grubym, brzuchatym sprzętem na drewnianych nogach.

Było to doprawdy śmieszne, ale prawdziwe. Najciekawszym wydało się, że sprawa przedstawiła się jej od razu z taką oczywistością, iż poddała się temu, jakby to było samo przez się zrozumiałe. Wkrótce przestała się nawet dziwić i gdyby ktoś kazał jej wydzielić własną istotę z ciała dzieży, poszłoby to z wielką trudnością.

Pod ścianą tedy stała Wandzia – dzieża z rozczynionym ciastem w swym pojemnym łonie. Z wierzchu przykrywał ją lekki, przezroczysty muslin, który rozpięty sztywno nad otworem wewnątrz przylegał mocno niby błona do jego brzegów – zapewne ochrona przed muchami, których roje uwijały się po izbie.

Ciszę czeladnej przerywał brzęk owadów tłukących skrzydełkami w okna lub szept zwiotczających warg staruszki odmawiającej różaniec. W połowie jakiegoś *Zdrowaś* podniosła oczy od czarnych, z wiśniowego drzewa paciorków

i popatrzyła z uśmiechem w stronę dzieży. Wtedy Wandzia poznała matkę dziwnie postarzałą o lat kilkanaście. Chciała coś do niej przemówić, chciała dać się poznać, lecz mimo wysiłków nie mogła – była dzieżą, bezustym przedmiotem.

Staruszka opuściła oczy z powrotem na różaniec i dalej przesuwiała w palcach wiśniowe kuleczki...

Na szybie zahuczała mucha, wpadłszy w matnię zastawioną przez dużego pajaka, który czyhał na nią już od dłuższego czasu w kącie futryny... Wędrowny klin słońca przepuszczony szparą między firanką a brzegiem okna przesunął się powoli pod ławę i załaskotał gorącym językiem jej nogi. W piecu piekarskim trząskał świeży chleb, pękał delikatny, wonny jego naskórek...

Dzieża uczyła w swym łonie tajemnicze ruchy. Zaczynione ciasto podnosiło się z głębi cichym postękiem i rozpadało kolisto; na powierzchni masy tworzyły się małe wydmy, rozwierały otworki, niby pierścieniowate kratery, to znów wyskakiwały półprzeźroczyste, ciążące bąble i dumały chwilę na miękkiej pościeli. Odzywały się z wnętrza głuche szmery, jakieś kłaskania, poruszały się czyjeś mlaskające usta, jakieś ciągliwe, cmokające smoczki. Rozczyn rósł, dojrzewał... Wandzia czuła w sobie jego ciepłą, tęgą treść, jak oblepiała jej boki, przywierała lepką, upartą wagą do żeber, wypełniała szczelnie jamę brzucha. Jej ciasto – zdrowe, jędrne, posytne ciasto. Dzieża dumną była z zawartości swego błogosławionego wnętrza; rosła, dościęgała wraz z nią do plennych celów.

Nieznacznie drzwi od wejścia odkryły się i do izby wszedł rośli, przystojny mężczyzna lat około trzydziestu. Wandzia poznała w nim Władka, towarzysza zabaw. Był tylko znacznie starszy i jakiś piękniejszy – właśnie taki, jakim go sobie wyobrażała za lat kilkanaście.

Dziwnym wydał się jego strój, bo ubrany był jakoś popolicie i ubogo, nawet bez tużurka, tylko w kamizelce. Miał biały, płócienny fartuch, fartuch spadający poniżej kolan jak u piekarza lub kucharki, rękawy koszuli zawinięte aż pod pachy. Rozglądał się po izbie wesoło i przedsiębiorczo jak u siebie, a spostrzegłszy mamę, uklonił się zamaszyście. Staruszka odpowiedziała życzliwym skinieniem głowy, wskazując mu dziezę.

Władek widocznie zrozumiał, o co chodzi, bo zrobił gest przytakujący, przy czym nalał z dzbana wodę do miednicy stojącej na ławie i zaczął myć ręce.

Wszystko to było jakieś dziwne, a niby oczywiste, jakieś niby zwyczajne, a przecież nowe, nawet trochę niepokojące.

Dzieża uczuła lekki dreszcz obawy i wyczekiwania. Tymczasem on wytarłszy ręce w fartuch, zbliżył się krokiem stanowczym. Mama odłożyła różaniec i przesłoniła twarz ręką. Wandzi zdawało się, że nieznany rumieniec wypłynął na twarz jej bladą, pomarszczoną – lecz również zauważyła, jak śledzi wszystko ciekawie przez rozsunięte palce.

Władek położył palec na muslinowej błonie i przycisnął mocno... Dzieża uczuła rozkoszny ból; nieokreślony strach przejął ją i wstrząsnął do głębi. Nacisk wzmógł się, spotężniał, jakby rozjątrzony uporem przepony.

Wandzia skurczyła się w bolesnym spazmie; przeszywały ją ostrza rozkosznej męki, słodkie a rozdzierające katusze...

Nagle wydała krótki, ostry krzyk: palec przebił przegrodę i mężczyzna zagłębił się w jej wnętrzu. Ból zelżał i zlał bezpowrotnie z uczuciem niewysłowionej rozkoszy. Władek zaczął zanurzać się rytmicznie w jej cieście. Wkładał swe silne, męskie ramię w ciepły, ustepliwy jej miększ, za-

padał się głęboko, głęboko, powoli wydobywał na powierzchnię pięść mocną, wnikliwą, słodko-upartą w swym zapamiętaniu i znów grążył ją w tanie wnętrza.

Dzieża zaczęła wydawać postęk – wyrzucać z głębi dławione odgłosy serdecznej udręki... Nieubłagane męskie ramię wślizgiwało się ruchem równym, miarowym, w rozstępujące się ciasto, parło brutalnie w głąb, łaskotało rozkosznie. Gorące jakieś prądy przenikały ją na wskroś, upalne skwarem żary rozlewały się falami dreszczy i podrzutów szału.

Wandzia poddawała mu się pokorna, spragniona, ciągle niesyta, błogosławiąc ruchom ręki, pijaństwu palców, sile pięści...

– Jeszcze, jeszcze – szeptała wśród łkań upojenia.

– Głębiej, głębiej! Do dna!...

Aż wyczerpana bezmiarem szczęścia, cała drgająca, w płomieniach obsunęła się w ciemność bezpamięci. Wszystko zatoczyło się opętaniem, szaleńczym kręgiem i zapadło w bezmiar mroków.

* * *

Gdy po pewnym czasie otworzyła oczy, był już jasny, słoneczny dzień. Leżała w łóżku w swojej sypialni. Z sąsiedniego pokoju dochodził brzęk rozstawianych do śniadania szklanek, szcęk łyżeczek i tupot bosych nóg Justysi, służącej.

Wandzia popatrzyła na duży ścienny zegar: była siódma rano. Należało koniecznie wstawać i brać się, lekcje w liceum zaczynały się o ósmej. Wtedy uczuła się nagle ogromnie znużoną i postanowiła pozostać w łóżku. Bolały ją okropnie krzyże, w ustach miała posmak gorączki. Do tego przyłączyło się szczególne jakieś wrażenie, którego ni-

gdy dotąd jeszcze nie doznawała – jakaś dziwna, niemiła sensacja...

Mimo woli odchyliła kołdrę, spojrzała i przeraziła się.

– Co to?

Serce zaczęło bić jej niespokojnie, strach dławił jej piersi:

– Mamo! – poskarżyła się.

Z jadalni nadbiegła zaniepokojona pani Z.:

– Co ci to Wandulko? Możeś chora?

Panienka oparła głowę na piersi matki, tuląc się do niej jak skrzywdzone piskłę.

– Mamo! Boję się. Co to, mamo?

Pani pochyliła się nad nią, całując białe, wyciągnięte spod koszulki nogi córki. Po chwili uśmiech ulgi rozjaśnił twarz matki:

– To nic, Wandeczko. Zaczynasz już rok piętnasty. To nic – to tak bywa u dziewcząt w tym wieku.

Przycisnęła ją mocno do piersi.

– A ty, głuptaku jakiś – przestraszyłaś mnie niepotrzebnie. No nic. Zostaniesz przez trzy dni w domu, a potem znów wszystko wróci do porządku. Kawę poda ci Justysia do łóżka.

I ucałowawszy córkę, oddaliła się do jadalni, gdzie ją oczekiwała już ciocia Stasia. Po chwili służąca wniosła śniadanie i Wandzia uspokojona już zaczęła popijać dymiący odwar. Z przyległego pokoju dochodziły ją słowa rozmowy matki z ciotką. Panie widocznie mówiły o niej. Choć konwersację prowadzono głosem ściszym, przecież podchwyciła wyraźnie następujący urywek dialogu:

– *Tiens! Notre petite a deja ses regles*¹... mówiła matka.

– Hm... – odpowiedział skrzypiący głos starej panny.

– *Rien d'extraordinaire.*² Ja sama miałam już w trzydziestym roku...

1 Nasza mała ma już swoją regularność.

2 Nic nadzwyczajnego.

NAMIEŃTNOŚĆ – L'APPASSIONATA

OPOWIEŚĆ WENECKA

Nad *sestiere*³ di Cannareggio, w samym sercu laguny, wisiała lekka, ledwo dostrzegalna mgła. W blaskach lipcowego słońca precedzanych przez ten najsubtelniejszy z woali drzemały sennie wody Canal Grande⁴, a w nich, jak wyczarowane z bajki, nieprawdopodobnie piękne przegłądały się pałace, wille, domy i kościoły. I widziało się wszystko niby miraż złocisty, powołany do życia przez przepyszną fantazję, niby obraz senny utkany z marzeń artysty w chwilę dziwnej, twórczej szczodroty.

Tylko fala przybrzeżna z cichym chlupotem roztrącająca stopnie schodów, tylko piosenka gondoliera, co przejechał mimo w żałobnej swej łodzi, budziły z zadumy olśnienia i kazały stwierdzać ten ponad wszystko radosny fakt, że jestem naprawdę w Wenecji...

Tak to rozkochany w mieście dożów, pijany czarem architektury i smętkiem czarnych, tajemniczych wód, czekałem w ten cudowny poranek na *vaporetto*⁵, które miało mnie przewieźć na tamtą stronę Wielkiego Kanału. Poza mną był stary, połowy XVIII wieku sięgający kościół S. Marcuola z małym dziedzińcem przed bramą wchodową, po lewej,

3 Dzielnica wenecka.

4 Kanał Wielki.

5 Tramwaj wodny.

po drugiej stronie wąskiego *rio*⁶ może najwspanialszy po siedzibie dożów pałac Vendramin-Calergi, ten sam, w którym ostatnie swe tchnienie oddał wielki twórca Nibelungów⁷. Właśnie gdy błędząc spojrzeniem po jego fasadzie odczytywałem dewizę: *Non nobis – Domine – Non nobis*⁸, rozległ się przeciągły, trochę szorstko rozdzierający ciszę tej godziny gwizd parowczyka.

Więc rzuciwszy raz jeszcze na koronkę pałacu, wstąpiłem na ruchomy pomost i za chwilę siedziałem już na rufie statku.

– *Avanti!*⁹ – sternik podał hasło przez tubę w czeluście kotłowni i *vaporetto* wyzwolone z uwięzi zaczęło rozgarniać sztabą leniwe wody.

Podróż moja nie miała trwać długo: wysiadałem na najbliższym przystanku, S. Staë. Statek minął były dom patrycjusza Teodora Correr i założone przezeń *Museo Civico*, minął stary spichlerz Republiki, pałace Erizzo, Grimani della Vida i Fontana i dotarłszy do linii Palazzo Tron, zwrócił się dziobem w prawo ku brzegowi.

– *Ferma!*¹⁰ – spadł rozkaz z wyżki w środku *vaporetta*.

Przycichł warkot śruby, ustała oddenna praca kotła i parowczyk przyciągnięty łagodnie liną do burty pontonu zbratał się znów z przystanią w chwilowym uścisku.

Przepchawszy się szczęśliwie przez zastęp pasażerów, stanąłem na bulwarze przybrzeża. Stąd do *Galleria d'Arte Moderna* w pałacu Pesaro, celu mojej wędrówki, było już niedaleko. Przeszedłem krótki, ponad *rio di Mocenigo* gib-

6 Rodzaj kanału.

7 Ryszard Wagner (1813-1883), kompozytor niemiecki.

8 Nie nam, Panie, nie nam.

9 Naprzód!

10 Stanąć!

kim łukiem rozpięty *ponticello*¹¹ i znalazłem się na *Fondamenta Pesaro*.

Cicho tu było jakoś o tej porannej godzinie i plusk fali wdzierający się leniwo na omszałe stopnie tarasu rozbrzmiewał wyraźnie w podsieniach pałacu.

Wszedłem na pierwsze piętro. U wejścia do galerii spotkały mnie oswiałe i niechętnie spojrzenia funkcjonariuszy, którzy zdawali się mieć mi za złe, że im przerywam *dolce far niente*¹² żądając biletu.

Wpuszczono mię do wnętrza. W salonach pustki: tu i tam błąkało się kilku *stranieri*¹³ z baedekerami w ręku, a jakaś koścista miss w cwikierze pożerała oczyma ponętny akt męski. Uwagę moją zaprzątnęła grupa *Mieszczan z Calais* Aug. Rodina¹⁴. Gdy po pewnym czasie oderwałem wzrok od rzeźby i spojrzałem w głąb najbliższej sali, spostrzegłem przed jednym z obrazów młodą piękną damę. Profil jej, subtelny a zdecydowany, z orlikowatym nosem, odcinał się na tle silnie oświetlonej przez słońce ściany wyraźnie i mocno. Krucze, połyskami metalu grające włosy okalały twarz smagłą, pociągłą, z parą ciemnoorzechowych, ognistych oczu. Spojrzenie ich jedyne, niezapomniane łączyło w sposób przedziwny kobiecą słodycz ze stalowymi błyskami nieugiętej woli: w momentach gniewu oczy te musiały być straszne. Z tą doskonale piękną, patrycjuszowską głową harmonizowała wybornie wysmukła i giętka kibić, której linie przeglądały dyskretnie a kusząco przez czarną, pełną spokojnej elegancji i smaku toaletę. A na tle tej wyrafinowanej prostej i skromnej sukni wykwi-

11 Mostek.

12 Słodkie nieróbstwo.

13 Cudzoziemców.

14 August Rodin (1840-1917), rzeźbiarz francuski.

tał jak płomień szal pomarańczowy i zlewał się w barwną symfonię z dużą, herbacianą różą wpiętą we włosy.

Cudna kobieta! – pomyślałem, przestępując próg sali. Odwróciła się i po raz pierwszy spotkały się nasze spojrzenia: jej – trochę roztargnione, potem badawcze, wreszcie zaintrygowane – moje – hołdownicze i podziwem brzemienne. Na ustach jej zaświtał zarys uśmiechu i zgaszony wolą rozwiął się powoli bez śladu; obojętne, aksamitne oczy przeniosły znów łaskę spojrzenia na obraz Fragiaco-
ma¹⁵ *Kutry rybackie podczas sztormu*.

I wtedy przyszedł mi w pomoc szczęśliwy przypadek.

Gdy już mijałem ją ze ściśniętym sercem i uczuciem zawodu, książka, którą trzymała w ręku, wysunęła się z palców i upadła na posadzkę koło mnie. Błyskawicznym ruchem schyliłem się po nią i odczytałem tytuł: – *El secreto del acueducto*¹⁶ – por Ramón Gomez de la Serna¹⁷.

To Hiszpanka – pomyślałem i z ukłonem zwracając jej własność, zapytałem:

– *Dispence V. – Este libro pertence a V. No es verdad?*¹⁸
Spojrzała przyjemnie zdziwiona i odbierając książkę, odpowiedziała w tymże języku:

– Pan mówi po hiszpańsku. Może jest pan moim rodakiem?

– Nie, łaskawa pani – odparłem – jestem Polakiem, lecz nie jest mi obcym język szlachetnych synów Kastylii.

Znajomość była zawarta. I potoczyła się między nami rozmowa żywa a malownicza, bo i ona lubiła styl trochę kwiecisty, w kunszt słowa bogaty, i ja urzeczony czarem jej

15 Pietro Fragiaco (1856-1922), malarz włoski.

16 *Tajemnica akweduku*.

17 Ramón Gomez de la Serna (1888-1963), pisarz hiszpański.

18 Wybacz pani. Ta książka do niej należy. Nieprawdaż?

postaci, mimo woli dobierałem zwrotów barwnych, jak motyle skrzydlatych.

Donia Inez de Torre Orpega rodem z Estramadury była od kilku lat wdową. Większą część roku spędzała w Madrycie u starszej siostry zamężnej za jakimś dworskim dostojnikiem, a tylko na miesiące letnie przyjeżdżała w odwiedziny do krewnych w Wenecji. O Polsce i Polakach wiedziała niewiele i z zajęciem słuchała moich informacji. Gdy w pół godziny potem opuściliśmy galerię obrazów i znaleźliśmy się na bulwarze Fondamenta Pesaro, byliśmy już dobrymi znajomymi.

– Dokąd się pan teraz wybiera? – zagadnęła. – Pora jeszcze za wczesna na obiad, lecz stosowna na drugie śniadanie. Czy nie zechciałby go pan spożyć w moim towarzystwie gdzieś w jakiejś restauracji z widokiem na Ponte Pi-lalto? Lubię bardzo obserwować go w godzinach porannych.

Byłem zachwycony.

– Najlepiej będzie – zaproponowałem – jeżeli wstąpimy do Corvo Nero opodal przystanku *vaporettów*.

– Wybornie. Proszę zatem podać mi rękę i sprowadzić do gondoli.

Spojrzałem trochę zdziwiony:

– Na razie nie widzę żadnej. Musimy trochę poczekać, aż któraś podpłynie.

Odpowiedziała srebrzystym śmiechem:

– Mój Beppo nie każe nam długo czekać. Oto już poznał mnie z dala po głosie i zbliża się ku nam na swej *Ron-dinelli*.

I rzeczywiście, spoza węgla bulwaru wychylił się dziób *Jaskółeczki*, która przywarłszy czarnym podbrzuszem do wód kanaliku między pałacem Pesaro a Corner delia Regina, przyczała się tam na chwilę i tylko czekała na hasło.

– Beppo Gualcioni, mój nadworny *gondoliere* – przedstawiła mi z miną pół serio, pół buffo swego przewoźnika – stary, długoletni sługa domu Ramorinów, mych krewnych.

I wsiedliśmy do łodzi.

Gondola donii Inez była istnym cackiem. Smukła, zgrabna i zwrotna jak fryga, z ślicznie rzeźbionym dziobem w kształcie szyi łabędziej, kołysała się na fali jak kolebka królewskiego panięcia. Oparci plecami o poduszki siedzeń z ciemnozielonego pluszu, pod osłoną niskiego, w złote frędzle strojonego baldachimu, który tutaj *felze* zowią, płynęliśmy jakby w nieskończoność, zasluchani w rytmikę wiosła.

Rozwiała się doszczętnie woale mgły i pod turkusowym kloszem nieba rozwinęła się bajecznie kolorowa perspektywa Canal Grande. Jej dominantą były trzy barwy: czarna, dżetowa wody, biała domów i pomarańczowa żaluzji i pozapuszczanych stor. Zmieszane ze sobą te trzy kolory, stopione powinowactwem szczęśliwego doboru – były jak dźwięk jedyny i konieczny, jak wyraz tajemny ukrytej gdzieś głęboko duszy tego miasta. I wszystko było prześiąknięte tym naczelnym, suwerennym tonem, wszystko rozdrąganą w bezlik dreszczy jedną struną – złotym monokordem, któremu na imię – Wenecja.

Jak przez sen przesuwwały się mimo naszej łodzi arcytwory weneckiej architektury, te koronkowe pałace i domy, z których niemal każdy chlubił się dziełami dłuta i pędzla wielkich artystów. Lipcowe słońce wyłączało miedzią i cynobrem dumne, arystokratyczne frontony i przyczółki, rozświecało mrokiem wieków nasiąkłe podziemia i kolumnady, spływało palącą pieśczętą na zielone oazy ogrodowych teras i winoroślą otulonych loggij.

Przepłynęliśmy mimo pałacu Ca d'Oro, najozdobniejszego gotyku dawnej Republiki, minęliśmy Segredo, Mi-

chiel dalje Colonne i Morosini i znaleźliśmy się na linii Rybiego Targu. Odór wodnej żywności, płynący z głębi hali targowej, ogarnął nas duszącym wyziewem. Peschiera w pełnym toku porannego ruchu tętniła gwarem i zgiełkiem.

Donia Inez przytknęła do nosa chusteczkę i patrząc na mnie z uśmiechem, wdychiwała zapach perfumy. Gondola była już na wysokości Przystani Jarzynowej. Znużone orgią światła oczy spoczęły z ulgą na zieleni główek kapusty, kalafiorów, selerów, pietruszek i marchwianej naci.

– Jaki kontrast między tym prozaicznym, choć tak ożywczym widokiem a wyrafinowanym pięknem pałaców – zauważyła donia de Orpega.

– Rzeczywiście – przyznałem – i mnie to zawsze uderza, ilekroć mijam Erberia. Trudno, nie może być inaczej; nie można żyć samą kontemplacją dzieł sztuki. Powiedziałbym nawet, że to pomieszanie prozy życia codziennego z poezją sztuki i przeszłości stanowi największy urok tego dziwnego miasta.

Skłoniła głowę na znak zgody. W bliskiej już perspektywie rozpiął się szary, patyną wieków okryty most Ponte Rialto. Kilku zręcznymi uderzeniami wiosła skierował Beppo łódkę ku przeciwnemu brzegowi i przesunąwszy się lewą burtą mimo Fondaco dei Tedeschi, podpłynął pod łuk mostu. Za chwilę wyskakiwałem już z gondoli na oblepione wodną pleśnią schody nabrzeża i podawałem rękę Inezie.

Była godzina 11 rano. Przeszliśmy stację *vaporettów* Cerva i wciąż trzymając się brzegu kanału, wstąpiliśmy na Riva del Carbon. Ruch był ogromny; nadjeżdżające co kilkanaście minut parowczyki wyrzucały wciąż nowe zastępy pasażerów. Schroniliśmy się w zaciszny zakątek Corvo

Nero, małej ustronnej *gelateria*¹⁹ z widokiem na Rialto. Tu pod skrzydłem płóciennej markizy wydała mi się donia Inez jeszcze piękniejszą; głębokie cienie pod oczyma podkreślały ich słodycz i żar. Patrzyłem na nią bez przerwy. A ona, widząc mój zachwyt, uśmiechała się tylko kącikami ust i cedziła przez perły ząbków oranżadę. Spojrzenie jej senne, lekko rozmarzone błędziło bez celu po tamtym brzegu kanału, potem przerzuciło się na grupę gondol rozkołysaną w przystani i zatrzymało się na łuku Rialto.

– Czy nie przypomina panu trochę florenckiego Ponte Vecchio? – zapytała.

– Tamten jest trójdzielny – odpowiedziałem.

– Chodzi mi o partie górne.

– A tak, oczywiście – przyznałem – oba są zabudowane, zwłaszcza ten we Florencji.

– Te sklepy i bazy, te budy jarmarczne rozbite nad wodą mają w sobie coś tak oryginalnego...

– Przemawiają do przechodnia wieku XX z lapidarną swadą przeszłości. Może chce pani przejść się tamtędy?

– Właśnie chciałam to panu zaproponować; lubię czasem taką przechadzkę pomiędzy pierzejami rozkrzyczanych sklepów.

Opuściliśmy nasz cienisty przytułek i niebawem znaleźliśmy się na łuku mostu. Otoczyła nas atmosfera hali targowej. Wąską uliczkę między dwoma rzędami bazarów wypełniał skłębiony malowniczo tłum. Przeważały kobiety: smukłe, rasowe mieszcanki w charakterystycznych, czarnych szalach z frędzlami. Ich zgrabne, często w ogniste wstążki przystrojone główki pochylały się z zainteresowaniem nad próbkami towarów rozłożonymi na ławkach i ladach, a śliczne o wytwornym rysunku ręce z lubością

19 Łodziarnia.

gładziły postawy jedwabiu, satyny i perkalu; kapryśne, wybredne, brakujące ręce.

Chaosowi barw wtórzył chaos woni: wśród ich zgiełku wybijał się na powierzchnię zapach tanich perfum, szorstki odór juchtu i wnetliwa symfonia zamorskich korzeni.

Szczególniejszymi względami cieszył się bazar z lalkami i sąsiadujący z nim sklep z przyborami toaletowymi; zwłaszcza ten ostatni był stale obleżony przez płeć piękną. Właściciel jego, barczysty, średnich lat mężczyzna, z parą melancholijnie opuszczonych ku dołowi wąsów, przynęcał weneckie strojnisię, przesuwając między opierścienionymi palcami sznury fałszywych pereł, koralu i bursztynu lub przesiewając z dłoni w dłoń migotliwe przygarście kolczyków, broszek i manel.

– Signor Giuliano robi jak zwykle świetne interesa – zauważyła, mijając bazar, donia Inez. – Umie zachwalać swój towar.

– Sama tandeta i surogaty – odpowiedziałem.

– Niekoniecznie – zaoponowała – można tu czasem wyłowić i prawdziwą perłę: trzeba tylko znać się na rzeczy i odróżnić ziarno od plewy. Buda Giuliana – to też rodzaj *bric a brac*²⁰ starożytności. Powrócimy tutaj jeszcze kiedyś w porze poobiedniej, gdy na Rialto trochę przestronniej. A teraz proszę mnie odprowadzić do gondoli; muszę wracać do siebie.

Przesyceni gwarem i krzykiem zeszliśmy do łodzi. Beppo, pokrzepiony kilku szklanicami piwa i porcją makaronu w przybrzeżnej *trattoria*²¹, odwiązywał rażno gondolę od palika na bulwarze. Gdy zdjąłem kapelusz i utkwilem w dania Orpega oczy pełne niemej prośby o najbliższe spotkanie, pociągnęła mnie za sobą w głąb gondoli.

20 Rupieciarnia.

21 Gospoda, traktiernia.

– Podwiezie mnie pan pod moje mieszkanie.
– Jaka pani dobra – szepnąłem, przyciskając ku ustom jej rękę.

Gondola pruć już dziobem wody kanału. Płyneliśmy z powrotem w kierunku Cannareggio. Po drodze Inez wyznaczyła mi schadzkę tegoż dnia po południu.

– Pan tu jest nowicjuszem – mówiła, przechylając na ramię swą cudną główkę – chcę być pańskim cicerone, chcę pokazać panu wszystkie osobliwości tego miasta. Sama ułożę porządek naszych wędrówek. Zgadza się pan?

– Z najgłębszą wdzięcznością. Od czego zaczniemy? Uśmiechnęła się.

– To tajemnica. Dowie się pan po południu. Chcę panu zrobić niespodziankę. Proszę zatem oczekiwać mnie o czwartej na Ca d'Oro. Do widzenia!

Gondola przybiła do brzegu; łabędzia jej szyja położyła się na omszałych stopniach schodów, co wiodły pomiędzy kolumny jednego z tych cudnych pałaców, które odbija tak wiernie ciemna fala Canal Grande. Tutaj Inez wysiadła. Podał jej rękę czekający już lokaj, bo schody od pleśni zielone śliskie były i niepewne.

– Beppo, odwieziesz pana do S. Marcuola – poleciła na pożegnanie i posławszy mi czarujący uśmiech, zniknęła za kotarą w głębi krużganka.

* * *

Nie mogłem doczekać się utęsknionej godziny. Stan podniecenia, w który mnie wprawiła radosna przygoda, był tak silny, że zapomniałem o obiedzie i nie wróciłem do swego mieszkania obok dworca kolejowego, lecz wałęsałem się nad kanałem w okolicy Złotego Domu; nie mogłem dopuścić do tego, by jakakolwiek banalna czynność prze-

rwała mi rozkoszną ciągłość marzenia o niej; nie chciałem pozwolić na to w żaden sposób, by pomiędzy pierwsze a drugie spotkanie z ukochaną wcisnęło się jakiegokolwiek prozaiczne zdarzenie. Dlatego wołałem krążyć w pobliżu miejsca wyznaczonego przez nią na schadzke. Gdy po paru godzinach uczułem dotkliwy głód i zmęczenie, odszedłem na chwilę od przystani Ca d'Oro ciemną, ciasną *vicoletto*²² i dopadłszy jakiejś podrzędnej kawiarenki na rogu ulicy Vittorio Emanuele, wychyliłem duszkiem szklankę kawy. W parę minut potem stałem znów na bulwarze i zapuszczałem niecierpliwe spojrzenie w stronę, skąd miała nadpłynąć gondolą Ineza.

W końcu nadpłynęła. Słodka, smagława, oszałamiająca. Gdy chciałem jej pomóc przy wysiadaniu, potrząsnęła przecząco głową:

– Pojedziemy dalej gondolą. Proszę usiąść tu przy mnie. I wskazała mi miejsce w łodzi.

– *Beppo, cava in felze!*²³ – rozkazała gondolierowi.

I podczas gdy sługa spełniając polecenie zwijał ponad naszymi głowami jedwabny baldachim, ona opierając się o moje ramię i zaglądając mi filuternie w oczy, zapytała:

– Czy też pan choć raz pomyślał o mnie od chwili naszego pierwszego rozstania?

– Seniora – odparłem, tonąc oczyma w jej oczach – jestem panią oczarowany.

– Tak trzeba, tak być powinno. *Avanti Beppo!*

– Dokąd płyniemy? – rzuciłem odruchowo pytanie.

– W stronę Fondamente Nuove systemem kanałów poprzecznych. Lubię przesuwac się na gondoli po tych cichych ścieżkach wodnych, wijących się pomiędzy starymi, przesiąkniętymi ich wilgocią domami.

22 Uliczka.

23 Beppo, odśłoń kabinę.

Odbiliśmy od przystani. Kierowana wprawnym wiosłem gondolieria łódź trzymała się blisko brzegu, by wkrótce, po dokonaniu zręcznego półobrotu w prawo, porzucić Canal Grande i wcisnąć się we wąską szyję Rio di S. Felice.

– *A – oel!* – rozległo się ostrzegawcze wołanie wiosłarza. – *A – oel! Sia stali!*

Gondola prześmignęła popod łukiem mostku łączącego ulicę Wiktora Emanuela z placem św. Feliksa i skręciła znów na prawo w Rio di S. Sofia. Zaskuchani w plusk wiosła, rozkoszowaliśmy się w milczeniu żegluga.

A miała ta przejażdżka pomiędzy kamienicami szczególnie urok. Mimo całej życiowej prozy wyzierającej z tych kilkupiętrowych starych, obdrapanych domostw z suszącą się tu i tam na żerdziach i sznurach bielizną było coś tajemniczego w ich atmosferze. Coś tało się w tych mrocznych, skąpo rozświetlonych językami gazu podsieniach, coś drzemało w ciemnych, gdzieś tam przeglądających przez wykroje bram podwórzach, czaiło się w brudnych, zatęchłych od lat basenach. Czasem wychyliła się z okna jakaś ludzka głowa, wyjrzała para oczu namiętnych, południowych i zniknęła jakby spłoszona widokiem obcych; czasem z głębi zagadkowych wnętrz wypłynęła cudna, tęsknotą wezbrana piosenka, zawibrowała między ścianami domów rozelkanym arpeggio²⁴ i milkła zawstydzona niewczesną swą urodą.

W czarnej, gęstej, nieruchawej wodzie łączyły się w drżącym uścisku pokraczne odbicia kamienic, snuły się, tęczując pod światło, jakieś brudno-tłuste ścięgi i popławy. Miejscami wysuwały się z masywów domostw i budynków nadpowietrzne, kryte galerie, *mosty westchnień* szarej, smutnej codzienności, i jak dłonie podane nad przepaścią

24 Szybki akord.

SPIS TREŚCI

DZIEŹA	5
NAMIĘTNOŚĆ – L'APPASSIONATA	13
PRZYPADEK	62
POJEDNANIE	85
ZNAK	98
KOCHANKA SZAMOTY	107
W DOMU SARY	125
TAJEMNICA HRABINY MASPERY	152
KRUK	164
PROJEKCJE	174
STRYCH	191
PANI Z BIAŁEGO KASZTELU	202
NOCLEG	215
W WILLI NAD MORZEM	228
PRZYPŁAWEK JANA MROCHA	252
PORUMBICA	267
WIZYTA	286